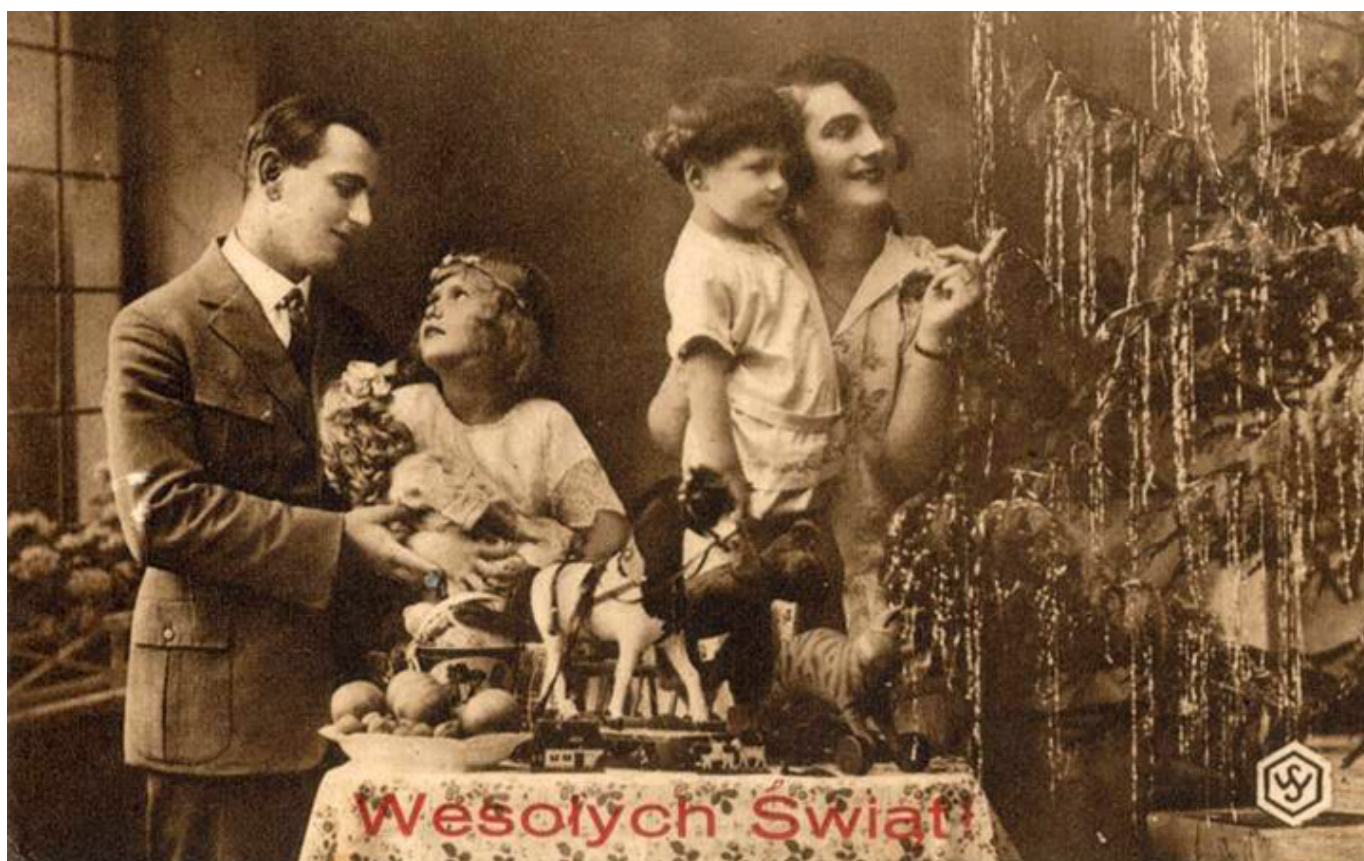


Święta Bożego Narodzenia w naszym polskim domu. Łódź lata 50. XX w.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Barbara M.J.Kukulska

Johannesburg, Republika Południowej Afryki

Wspomnieniem sięgam do mojego domu rodzinnego. W naszym domu mieszkało wiele osób, choć praktycznie była nas czwórka; rodzice, mój starszy brat Zbyszek i ja. Jednak zawsze gościł ktoś potrzebujący pomocy.

Mieszkanie w kamienicy w Łodzi było metrażowo duże, ale znajdowały się tylko trzy pokoje i rozmieszczenie dodatkowych osób wymagało specjalnego ustawienia mebli. W tym była niezastąpiona moja matka, która potrafiła w parę godzin całkowicie

poprzestawiać ciężkie meble w całym mieszkaniu, czym doprowadzała mnie do rozpacz, gdyż gubiłam się! Tylko miarowe cykanie i wybijanie godzin, dawało znać gdzie znajduje się olbrzymi wahadłowy zegar. Uspokajało, że jednak to jest moje mieszkanie.

Zanim poszłam do szkoły, przez kilka lat mieszkała z nami babunia Zofia, urodzona warszawianka, ale dorosłe życie spędziła w Poznaniu. Posługiwała się językiem niemieckim biegle, tak jak polskim i kiedy byliśmy same bardzo często mówiła do mnie po niemiecku, aby mnie nauczyć tego języka. Rodzice niechętnie na to patrzyli, gdyż uważali, że w pierwszym rzędzie powinnam znać język ojczysty. Babunia zaprzestała rozmów po niemiecku, ale nauka nie poszła w las i dużo później okazało się, że znam ten język.

Znajomość języka niemieckiego miała kolosalne znaczenie właśnie przed świętami Bożego Narodzenia. W tych ciężkich czasach przełomu lat 50. zeszłego stulecia, niezwykle trudno było zdobyć jakiegokolwiek prezenty. Dlatego kilka miesięcy wcześniej jak coś pokazało się w sklepie, rodzice kupowali i chowali skrzętnie przed nami, aby nam zrobić niespodziankę w wieczór wigilijny. Po kupnie prezentu dorośli dyskutowali, co komu dadzą. Śmieszne dla mnie było to, że mówili otwarcie w obecności dzieci, myśląc, że porozumiewają się „sekretnym językiem” czyli po niemiecku, a my nic z tego nie rozumiemy.

Powiem szczerze, dziwiłam się mając cztery lata, dlaczego przy mnie omawiają różne tajemne sprawy i zaznaczają, że nie wolno o tym mówić Basi! I tak filozofowałam, że doprawdy trudno zrozumieć dorosłych, a szczególnie moich rodziców! Zatem, aby nie zrobić im przykrości, grałam razem z nimi, że nic nie rozumiem i nic nie wiem! Pocieszałam się, że może ktoś z dalszej rodziny prześle paczkę, czy przyjedzie na święta z prawdziwą niespodzianką. Rozpalało to moją wyobraźnię, co dostanę i nawet jeśli wiedziałam, że będzie to upragniona laleczka, to w myśli tworzyłam obrazy uszytych dla niej sukienek.

Krótko po II wojnie światowej nie przelewało się nikomu. A jednak święta obchodzone były nadzwyczaj uroczyście i miały swój niepowtarzalny urok.

Już co najmniej miesiąc wcześniej w każdym domu przystępowało się do wykonywania ozdób na choinkę: łańcuchów sklejanych z kolorowych papierków, gwiazdek i koszyczków plecionych z białych paseczków, malowania wydmuszek z jajek i robienie z nich lalek i pajaców do wieszania na choinkę. Na czubku drzewka koniecznie musiała być zamieszczona gwiazda symbolizująca gwiazdę betlejemską. Im bardziej była okazała, tym więcej pochwał dostawali gospodarze od gości odwiedzających w czasie świąt.



Najwięcej starania pochłaniało przygotowanie szopki. Nie na próżno się mówi, że „potrzeba jest matką wynalazków”. Zupełnie nie mogłam zrozumieć intencji mojej babuni Zofii, kiedy powiedziała, że przygotujemy szopkę betlejemską, ale wpierrw musimy iść na targ. Wybrałyśmy się na Zielony Rynek, a tam było pełno wozów ze wsi z różnymi towarami: gdakające kury i piejące koguty w koszykach, jajka, ziemniaki, sery, mąka, kasze w dużych worach, a na końcu rynku: stały stłoczone beczące owce i kozy.

Babunia podeszła do wieśniaczki i poprosiła o kilka piór i słomę, a od właściciela owiec dostała trochę runa. Z takimi trofeami wróciłyśmy do domu. Miałam wtedy cztery, może pięć lat i wszystko nadzwyczaj mnie dziwiło.

Siadaliśmy do stołu, na którym poukładane były kromki chleba, kolorowe ścinki tkanin, słoma, sucha trawa, kawałki desek, kolorowe papiery i farby. Najpierw trzeba było użuć chleb, aby stanowił gęstą masę, z której lepiliśmy figurki Rodziny Świętej, Aniołów, pasterzy, zwierząt. Babunia, która malowała piękne obrazy i miała złote ręce do prac artystycznych, kierowała naszymi pracami. Jej postacie były wypracowane, ona też uczyła jak mają być wykonane stroje Matki Boskiej, Świętego

Józefa i pasterzy. Każdy chciał ubierać w koszulkę Pana Jezuska, ale babunia wybierała sprawiedliwie tylko ładne i starannie wykonane prace. Lepiliśmy też owieczki i przystrajane były runem, Aniołowie mieli przytwierdzone prawdziwe pióra. Dach stajenki przykryty był słomą, a żłóbek wypełniony aromatyczną trawą. Umocowana była kometa nad stajenką w Betlejem. Podczas wielogodzinnego wspólnego siedzenia, opowiadane było przez dorosłych życie Świętej Rodziny, jazda na osiołku i narodziny Dzieciątka w ubogiej szopie. Słuchałam tych opowiadań z zapartym tchem, jak Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy, a poprzez wspólne tworzenie stajenki betlejmskiej, przeżywałam życie Małego Jezusa jako osoby znanej mi i bliskiej.

Na zakończenie wszyscy uważaliśmy zgodnie, że wykonanie szopki było najważniejsze i najciekawsze. Szopka była gotowa. Łańcuchy i uplecione gwiazdki czekały w pudełku na dzień wigilijny, kiedy miały zostać powieszona na choince.

Niebywałym wyczynem było zdobycie pachnącego świerku lub jodły. Ponieważ mieszkanie było wysokie na 4,5 metra, więc i choinka musiała prezentować się okazale i sięgać do sufitu! Nie mogliśmy doczekać się na ten upragniony dzień ozdabiania naszego drzewka.



Tradycyjnie cały rytuał rozpoczynał się w godzinach rannych w wigilię. Zapach iglastego lasu unosił się w całym mieszkaniu zmieszany z aromatami kuchennymi i wypiekami drożdżowych ciast. To wszystko wpływało na atmosferę podniecenia przed najważniejszym momentem dla dzieci: szukania prezentów pozostawionych pod choinką przez świętego Mikołaja. W ozdabianiu drzewka brała udział cała rodzina i przyjaciele. Do umieszczenia na czubku choinki gwiazdy pieczołowicie wykonanej i posypanej brokatem, aby się świeciła, trzeba było użyć wysokiej drabiny, którą mieli nasi sąsiedzi. Przy okazji pożyczania i oddawania drabiny, odwiedzało się sąsiadów składając życzenia.

Na drzewku wypełniającym swoimi rozłożystymi konarami niemalże pół stołowego pokoju wisiały oprócz ręcznie wykonanych ozdób, szklanych błyszczących bombek, również smakołyki: cukierki w kolorowych papierkach, orzechy, wyglansowane i błyszczące czerwone jabłka i inne owoce. Owoce same w sobie były już rarytasem na który można było tylko patrzeć i podziwiać. Aby dostać jabłko z drzewka, musiałam bardzo się starać i zasłużyć na tę nagrodę za dobre zachowanie. Przedtem jednak przez wiele dni wpatrywałam się w smakołyki i ciekła mi ślinka od patrzenia!

Ubrana choinka z zapalonymi woskowymi świeczkami wzbudzała zachwyt nie tylko dzieci, ale dorośli też byli pod urokiem tego wigilijnego wieczoru.

Choć czasy były ciężkie i trudno było zdobyć karpia, śledzie, czy szynkę na świąteczny stół, to zawsze w jakiś magiczny sposób udawało się coś kupić.

Bardzo pomocni w dostarczaniu żywności, byli wujostwo Maria i Wacław Tarnowscy, mieszkający w Dobrzelinie pod Kutnem. Wujek przed II wojną światową i po wojnie był głównym udziałowcem w Cukrowni Dobzelin, gdzie też był zarządcą.

Dzięki hojności wujostwa moi rodzice przetrwali wojnę, a później nie umarli z głodu. Wujek Tarnowski przelał całe uczucia na mnie, po śmierci swojej córki Wandy w kanałach w czasie Powstania Warszawskiego. Byłam adorowana przez tego uroczego starszego pana, który traktował mnie jak prawdziwą damę, choć miałam zaledwie cztery lata!

Biała serweta, siano pod obrusem, udekorowany gałązkami stół, nakrycie dla niespodziewanego gościa (zawsze ktoś przyszedł i trzeba było dostawiać nie tylko talerze, ale i krzesła) oraz na półmiskach potrawy dekoracyjnie ułożone, dawały nastrój wyjątkowy. Tradycyjne potrawy wigilijne przygotowywane były według dawnych rodzinnych receptur. Każdy region Polski miał odrębne zwyczaje i moi rodzice, którzy pochodzili z różnych stron Polski, zawsze uzgadniali, która z potraw będzie serwowana.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Przychodzili goście, aby wspólnie świętować Narodzenie Pana. Bardzo oczekiwani byli wujostwo Brzezińscy mieszkający kilka domów dalej na tej samej ulicy Gdańskiej. Wujek Wacek wykładał w Konserwatorium Muzycznym, które znajdowało się naprzeciw naszej kamienicy. Wujek był synem sławnego profesora Wacława Brzezińskiego, który wylansował śpiewaka Janka Kiepurę. Wujek Wacek miał operowy głos, jego żona Basia pięknie śpiewała i wspólnie z moją matką, która miała sopran koloraturowy tworzyli doskonałe trio. Ktoś z przyjaciół pianistów akompaniował przy zgaszonym świetle. Paliły się świece w lichtarzach pianina i błyszcząca choinka z zapalonymi świeczkami. Pełną piersią śpiewaliśmy kolędy i nam dzieciom, wydawało się, że to śpiewają sami Aniołowie. Nigdy później w moim życiu nie słyszałam tak profesjonalnie wykonanych pieśni bożonarodzeniowych.

Wśród prezentów zostawianych przez świętego Mikołaja zawsze znajdowały się kalendarzyki na następny rok, z życzeniami aby był pomyślny i upłynął spokojnie. Tym „Mikołajem” był mój tatuś, który poprzez pozytywne życzenia prowokował dobry los do spełnienia oczekiwań. Muszę przyznać, że te kalendarzyki były jakby czarodziejskie, tworzyły dobry klimat i pozwalały myśleć o nadchodzącym Nowym

Roku jako o zwiastunie nadziei na lepsze jutro.

W okresie Bożego Narodzenia, pod koniec lat 40. XX wieku, Politechnika Łódzka gdzie pracował mój ojciec, urządzała dla dzieci pracowników spotkanie ze świętym Mikołajem, który rozdawał paczki ze słodyczami i owocami. Wielkim luksusem w paczce była pachnąca pomarańcza. Spotkania były bardzo uroczyste. Panowie profesorowie witali się z dziećmi poprzez podanie ręki i elegancki ukłon. Grzecznościowo zamieniali też kilka słów z każdym dzieckiem. Następnie były konkursy recytacji i piosenek. Oklaskami zgromadzeni nagradzali zwycięskie dziecko. A potem poprowadzeni przez wodzireja tworzyliśmy taneczny łańcuch oplatający całą salę balową, która w tym dniu była udekorowana lampionami i łańcuchami. Śpiewaliśmy kolędy i chrupaliśmy orzechy. Spotkania przygotowane były doskonale. Dopiero parę lat później na skutek oficjalnych komunistycznych zarządzeń, spotkania bożenarodzeniowe zmieniły nazwę na witanie Dziadka Mroza. Nikt z dzieci nie cieszył się już tak jak dawniej, gdy witał nas święty Mikołaj.

Dni świąteczne mijały szybko i wykładnikiem upływającego czasu, była sypiąca igłami choinka. Aż wreszcie, kiedy straciła cały swój majestat i krasę, była rozbierana. Na suchych gałęziach zostały jedynie łańcuchy, białe gwiazdeczki i bombki. Zniknęły owoce, cukierki i orzechy. Część z nich, szczególnie te, które wisiały wysoko, była zdejmowana oficjalnie i w nagrodę obdarowywani byliśmy za dobre zachowanie, jednak znaczna część zniknęła bez śladu, nie wiadomo było czy to ktoś nocą potajemnie zdejmował z drzewka, czy też niby przez nieuwagę „stracił” czerwone jabłuszko.

Mijały święta mojego dzieciństwa, tak długo oczekiwane, ale pamięć związana z przeżyciami i przygotowaniem pozostała na zawsze, jako czas niezwykły, gdy zwierzęta mówią ludzkim głosem, a Aniołowie schodzą z nieba aby spełnić ludzkie życzenia.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Ostatni lotnik

W rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego opowieść Bryana Desmonda Jonesa - ostatniego lotnika 31 dywizjonu lotnictwa Południowej Afryki, zmarłego w tym roku w Johannesburgu, który w sierpniu 1944 roku niósł pomoc dla walczącej Warszawy.



Bryan Desmond Jones w 1944 roku.

Barbara M. J. Kukulska

Bryan Desmond Jones urodził się 29 kwietnia 1923 roku w Północnym KwaZulu - Natal w Południowej Afryce, zmarł w Johannesburgu 16 lutego 2017 roku.

Miał 21 lat, kiedy przeżył dramatyczne chwile ostrzelania jego samolotu przez Niemców. W tych ułamkach minut, kiedy ważyło się jego życie, podjął decyzję: „Jeśli wyjdę z tego żywy poświęcę swoje życie Bogu!”

Dotrzymał obietnicy, został pastorem.

W czasie II wojny światowej podczas Powstania Warszawskiego należał do 31 dywizjonu lotnictwa Południowej Afryki. Był w stopniu porucznika, nawigator oraz bombardier. Jego zadaniem było ustawienie kursu, naprowadzenie samolotu na cel oraz zrzucenie ładunku.

Wstąpił do lotnictwa w wieku 17 lat, skończył szkołę i na początku 1942 roku rozpoczął pracę. W czasie wojny jego dywizjon stacjonował w rejonie pustyni

egipskiej i stamtąd prowadzili ataki na Krete – port i stocznie Heraklion. Później przenieśli się w okolice Ciolloni Foggia we Włoszech, gdzie prowadzili akcje w nocy, a ich głównym celem były silnie bronione pola naftowe. Atakowali też inne duże miasta takie jak Bukareszt, gdzie były zbiorniki z ropą naftową, rafinerie, Budapeszt i inne lotniska na Węgrzech.



Na szczycie piramidy w Egipcie w 1944 r. Bryan Jones pierwszy z prawej.



Bryan Jones na Bliskim Wschodzie, styczeń 1944 r,
Oprócz tego, raz w miesiącu wykonywali zadanie, jakim było zrzucanie magnetycznych min na Dunaju, które hamowały przepływ barek przewożących ropę naftową z Rumunii do Niemiec.

Akcja nad Warszawą była w nocy, księżyc świecił wtedy bardzo jasno. Lotnicy znaleźli wyznaczony obszar i zniżyli się na wysokość 30 stóp nad rzeką Wisłą. Komory bombowe były otwarte i wszystko było gotowe do zrzucenia min, ale...

Relacjonuje Bryan Jones:

W momencie, gdy miałem nacisnąć spust uwalniający bomby, zauważyłem, że zaraz pod nami był inny samolot, tego samego kształtu jak nasz. Krzyknąłem do pilota: „Kapitanie, pod nami jest inny samolot. Nie możemy teraz zrzucić bomb”. On odpowiedział: „W porządku” i zatoczyliśmy koło, by tam za chwilę wrócić.

Okazało się, że ten samolot poniżej, to... było odbicie w wodzie ich samolotu. Niemcy to wykorzystali i byli gotowi do ataku z brzegu rzeki. Nikogo z załogi nie trafili, ale samolot był posiekany od kul.

Bryan Jones nie znał Europy, ani sytuacji w jakiej się znalazła na skutek działań wojennych. Ten lot, był pierwszym nad Polską, o której nic nie wiedział. Dla nich, wówczas młodych chłopców, była to przygoda. Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że może zostać zraniony, czy nawet zabity.

W sierpniu 1944 roku stacjonowali na lotnisku Ciolloni, obok Foggi, na wschodnim wybrzeżu Włoch.

W niedzielę 13 sierpnia została wywieszona czerwona flaga na kwaterze sztabowej.

Okazało się, że porucznik Dirk Nell wyznaczył 10 załóg na specjalną odprawę i znaleźliśmy też swoje nazwiska na liście. Pobiegliśmy więc do namiotów, zabraliśmy nasze rzeczy i wsiedliśmy do samolotów. Wszyscy byliśmy podekscytowani bo myśleliśmy, że mamy zaatakować południe Francji w czołowym natarciu.

Już to wcześniej robiliśmy i wiedzieliśmy, że to dla nas bułka z masłem, bo było to łatwe, więc byliśmy podekscytowani. Gdy czekaliśmy w kolejce by wystartować, podbiegł do nas Anglik ze spadochronem w ręku, był artylerzystą, i mówi: ‘Czy mogę lecieć z wami?’ Nasz pilot odpowiada: „Zapytaj porucznika”, więc on odszedł, ale nie wiem czy w ogóle poszedł do porucznika, możliwe, że po prostu obszedł samolot dookoła i wrócił z drugiej strony. Mówi: „Porucznik się zgodził” więc powiedzieliśmy: „Wskakuj!” Myślał, że wybiera się na krótką wyprawę, a zajęło mu to cały rok zanim wrócił.

Wylądowaliśmy w Brindisi i poszliśmy do pokoju sali konferencyjnej RAF-u. Tam w poprzek sali wisiała mapa Europy i zszokował nas widok czarnej taśmy, jaką zaznaczano trasę, biegnącą wzdłuż Adriatyku, Albanii, do Rumunii, przez Węgry, Czechosłowację, nad Karpatami, aż do Warszawy. Pomyśleliśmy: „Wow! Kto jest na tyle szalony, żeby tam lecieć?” Byliśmy już wtedy zaprawieni w bitwach, wykonaliśmy 12 lub 13 lotów do tego czasu i wiedzieliśmy, że nikt nie jest na tyle głupi, żeby się porywać na wykonanie tak niebezpiecznego zadania - lotu do Warszawy.

Rozpoczęła się odprawa. Dowódca skrzydła RAF-u wstał i powiedział zwyczajnie: „Panowie, celem waszym dziś jest Warszawa”. W tym momencie wszyscy westchnęli, nie mogliśmy w to uwierzyć. Gdy doszliśmy do siebie, dowódca powiedział: „Co więcej, będziecie dostarczać zrzuty dokładnie na teren Warszawy, więc będziecie musieli lecieć na wysokości dachów, żeby zrzucić zaopatrzenie prawie na dokładny adres ulicy”. Nie mogliśmy w to uwierzyć, ale taka była prawda.

Następnie poinformował nas, że w Warszawie jest powstanie. Nie powiedział nam, jaka jest sytuacja polityczna, ani, że Rosjanie podeszli pod Wisłę, ale odmówili pomocy. Nie powiedział nam też o wątpliwościach naszego przełożonego porucznika brygadiera Durrenta, ani, że Churchill wydał taki rozkaz. Ledwo wiedzieliśmy, gdzie Polska leży, ale kazano nam lecieć. Właśnie do takich zadań zgłosiliśmy się na ochotnika, gdy zapisywaliśmy się do lotnictwa, więc poleciliśmy.



Załoga SAAF B-24 Liberator EW105, siedzący pierwszy z prawej Bryan Jones, nawigator i celownik bombowy.

Bryan Jones brał udział tylko w jednym locie nad Warszawą w dniu 13 sierpnia 1944 roku. Lecił Liberatorem, produkcji amerykańskiej B-24, którym wystartowali z bazy o godz. 18:30, mieli zrzucić zapasy, których pilnie potrzebowano w walczącej Warszawie. Była to broń, amunicja, środki opatrunkowe i lekarstwa.

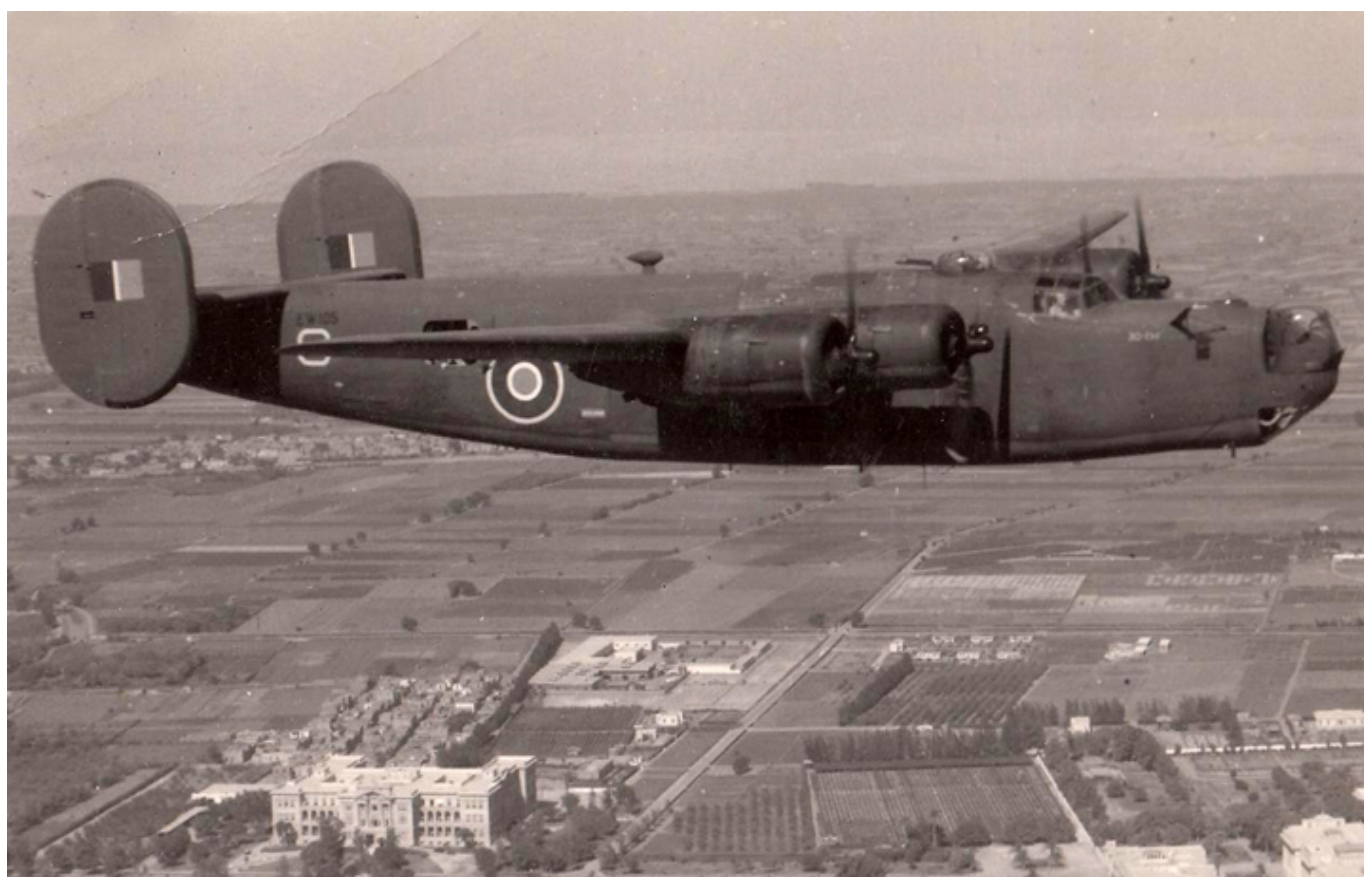
W czasie odprawy przyszedł specjalista od meteorologii i powiedział, że pogoda nie jest najlepsza. Ale to było mało powiedziane, pogoda była przerażająca. Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy: pod koniec odprawy dowódca skrzydła zaprosił polskiego dowódcę dywizjonu kpt. Szostaka, by wygłosił mowę. On powstał i w bardzo emocjonalnym tonie powiedział: „Mój kraj, Polska, ma poważne kłopoty. Proszę was – obywateli Wielkiej Brytanii i RPA – o pomoc dla Polski”.

Dla nas, młodych ludzi, brzmiało to bardzo poważnie, i naprawdę poruszyło nasze emocje. Ale to oświadczenie to był dopiero początek, a z pewnością w moim przypadku, ogromnego podziwu dla Polski i Polaków.

Pogoda była straszna!

Lecieliśmy zataczając się z pełnym zbiornikiem, ciężkimi zapasami i nas siedmiu mężczyzn na pokładzie. W końcu dolecieliśmy nad Karpaty, jakoś przedarliśmy się przez nie.

Niebezpieczeństwem były oblodzone skrzydła, a raczej ich krawędzie, które ciągnęły samolot w dół. Gdy przelecieliśmy nad Karpatami zniżyliśmy się i przed sobą zobaczyliśmy ponury blask, i zorientowaliśmy się, że to płonąca Warszawa. Muszę tu zaznaczyć, że jako nawigator byłem z siebie zadowolony bo lecieliśmy na ślepo w chmurach, a jak się wyłoniliśmy, byliśmy na właściwym kursie, a tam był nasz cel.



Liberator EW105 z 31 dywizjonu został zestrzelony nad Warszawą w nocy 13/14

sierpnia 1944 r.

Lecieli nad Karpatami. Mieli ostrzeżenie, że muszą uważać, bo są tam samoloty myśliwskie. Warszawa widoczna była z daleka, gdyż nad miastem unosiły się płomienie i dymy. Kiedy znajdowali się nad Wisłą zostali zaatakowani i stracili jeden silnik.

Pomimo tego pragnęli wykonać zadanie zrzutu nad wyznaczonym miejscem, którym były okolice Starego Miasta. Wypatrywali punktu, gdzie ktoś miał dawać sygnały lampkami. W płomieniach, dymie i ostrzeliwaniu nie było nic widać. Wykonali obliczenia i ustawili kurs zgodnie ze szczegółowymi mapami.

Byli oświetlani reflektorami, ostrzeliwani i słychać było huk uderzających pocisków w samoloty. Rzeka zakręcała, a przed nimi widać jakby wystrzeliwały fajerwerki. Pomimo tego kierowali się do wyznaczonego celu. Lecieli z otwartymi komorami bombowymi na wysokości 120 do 150 metrów nad ziemią z prędkością zaledwie 135 mil (taki mieli rozkaz).

Wcześniej powiedziałem, że byłem bardzo religijnym człowiekiem, wierzyłem wtedy, że Bóg istnieje i że jestem w jego rękach.

Miałem świadomość, że nie jestem sam w samolocie, byli tam nie tylko moi koledzy, ale był też Bóg.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego inni zginęli, a ja nie. Ale, dla przykładu podam taką sytuację: leżę tam na podłodze, czytając mapę i instruując pilota „w lewo, w lewo, w prawo” i nagle słyszę jak ktoś do mnie mówi: „Hej, Jones, załóż hełm”,

Wszyscy mieliśmy obowiązek nosić stalowe hełmy, ale nigdy ich nie nosiliśmy, gdyż są ogromne i głowa się w nich obija. Zawsze je zdejmowaliśmy i rzucaliśmy na podłogę. Ale wtedy ktoś powiedział: „Hej, Jones, załóż hełm”. Wyciągnąłem więc po niego rękę, wciąż patrząc przed siebie, i założyłem go na głowę.

Nie chcę kreować wrażenia, że się nie bałem, gdyż bałem się. Ale byłem tak pochłonięty obliczeniami, robieniem zdjęć i czytaniem mapy, że nie pamiętam strachu. Pamiętam tylko, jak pociski uderzały w samolot, i artylerzystę krzyczącego z tyłu: „Kapitanie, dostałem w ramię, nie mogę kierować działem”.

Zawołaliśmy tego Brytyjczyka, którego zabraliśmy ze sobą i powiedzieliśmy, żeby zabrał stamtąd rannego i zajął jego miejsce. Tyle pamiętam. Ale proszę nie myśleć, że byłem taki odważny, serce mi waliło, tylko po prostu byłem zbyt zajęty - i to mnie uratowało.

W momencie, kiedy dokonaliśmy zrzutu, poczuliśmy jak samolot poderwało do góry. Zamknęliśmy komorę bombową, zwiększyliśmy prędkość i lecieliśmy do domu. Podałem kurs pilotowi, który obliczyłem już wcześniej, więc kapitan go ustawił i próbowaliśmy wrócić do Włoch. W tym momencie odstrzelono nam drugi silnik. Zostały jeszcze dwa.

Nagle, w samolocie zapanowała ciemność. Okazało się, że cała hydraulika samolotu też została odstrzelona, nie mieliśmy światła. Ale wciąż próbowaliśmy wrócić do Włoch. Nie było mowy o tym, żeby postawić przednie koło i lądować. Nie, wracaliśmy do domu. Ale wewnątrz samolotu wszystko chrobotąło, słychać było hałas ścierania, i samolot wylądował na lotnisku w Warszawie.

Wywiad z Bryanem Desmondem Jonesem o zestrzeleniu jego samolotu nad Warszawą podczas przygotowywania zrzutu dla walczących Powstańców:

Samolot wylądował prosto, ale zarył się w ziemię, silnik ucichł. Bryan Jones stracił na chwilę przytomność, ale nałożony hełm uratował mu życie. Niemcy na lotnisku zapalili reflektory i zaczęli ich ostrzeliwać.

Bałem się. Leżeliśmy tam, a oni cały czas nisko strzelali. Pamiętam wyraźnie, jak pomyślałem: Jest niedziela wieczór, moi rodzice są teraz pewnie w kościele w Derbin, i modlą się „Prosimy, opiekuj się naszym chłopcem”.

Zawarłem wtedy układ z Bogiem - co za tupet! - powiedziałem: „Panie, boję się. Jeśli zabierzesz mnie z powrotem do Południowej Afryki do mamy - to wstąpię do kościoła i zostanę pastorem. Proszę cię, Panie”.

Jest to zupełnie inne doświadczenie dla lotnika być schwytanym, niż dla żołnierza, ponieważ jest się przyzwyczajonym do latania i bycia wolnym, a tu nagle nie tylko znajduję się na obcej ziemi, ale też nie jestem w ogóle przyzwyczajony do bycia na ziemi. I pamiętam, że w duchu, jak mały chłopiec, przerażony wołałem: „Mamo,

patrz co oni mi robią”.

Dokładnie tak, jak wołałem, gdy byłem małym chłopcem w szortach. Ale moja mama była daleko, mój dywizjon był we Włoszech, a ja byłem sam.

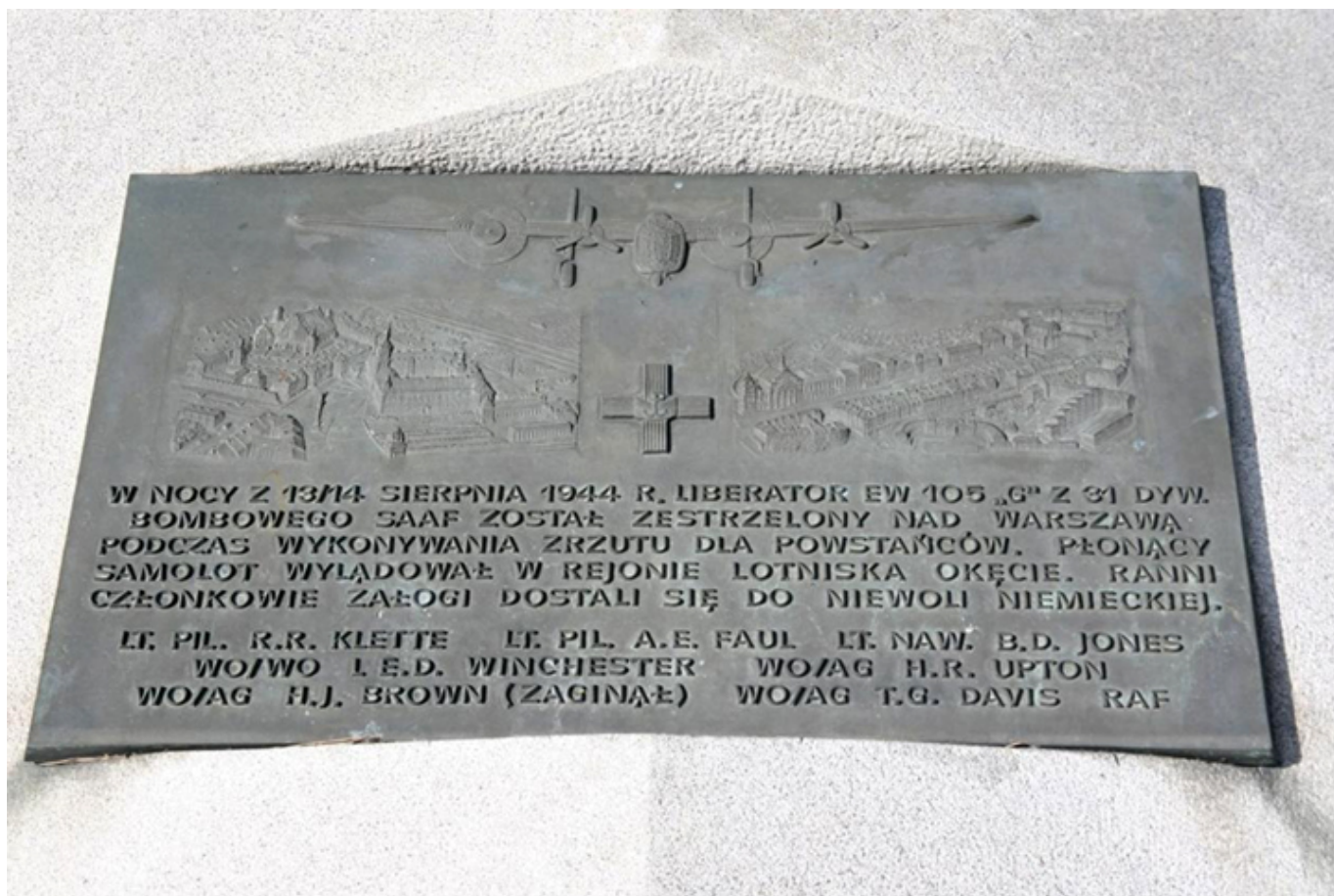
Zostali zaaresztowani i osadzeni w więzieniu. Bryan Jones przeżył koszmar przesłuchań, złego traktowania, przewożenia pod eskortą z jednego obozu jenieckiego do drugiego.

Po wyzwoleniu Polski, wrócił do Południowej Afryki i po wielu latach dotrzymał przyrzeczenia. Został pastorem.

Los był dla mnie łaskawy, nie chcę powiedzieć, że miałem szczęście, bo w to nie wierzę.

Bóg ma plan dla każdego z nas, a jego plan dla mnie, był taki, że miałem przejść przez to piekło w Warszawie – Gestapo i reszta. Miał dla mnie taki plan i chciał, żebym go posłuchał.

I gdy teraz patrzę z perspektywy na to, jak to wszystko się skończyło, myślę, że to było cudowne. Nie miałem z tego pieniędzy, ale mogłem pomagać ludziom w kościele, wykorzystać do tego swoje doświadczenia.



Tablica na lotnisku im. F. Chopina w Warszawie upamiętniająca zestrzelenie samolotu, którym leciał Bryna Jones nad powstańczą Warszawą w 1944 r., fot. Hubert Kuberski.

Źródło:

www.biltongbru.wixsite.com/ww2-saaf-heritage

<http://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/bryan-desmond-jones,1949.html>

Artykuł ukazał się w „Wiadomościach Polonijnych” w Johannesburgu, RPA, nr 637.

Piękno

Barbara M. J. Kukulska

Korespondencja z Johannesburga (Republika Południowej Afryki)



Afrykańska przyroda, fot. B. Kukulska

Wysłuchana

w brzmienie szelestu liści,

Zastygłam

w podziwie nad pięknem natury.

Zanurzyłam

w bezkresie mej duszy.

Zachwycona,

bez tchu, oniemiałam.

Dotknęłam światła.

Miłość wypełniła mnie,

uniosła ponad drzewa.

Piękno jest wokół nas, należy jednak je dostrzec.

Zastanawiam się jak inni określają piękno?

Pojęcie piękna należy do podstawowych wartości, jakie zdefiniowała filozofia u samych swoich początków.

Piękno (grec. *kalós*, łac. *pulchritudo*, *pulchrum*) - analogicznie (*zbieżna*, *podobna*) pojęta właściwość rzeczywistości, ludzkich wytworów, w tym sztuki, a także ludzkiego sposobu postępowania, wyrażana w tradycji kultury zachodniej pod postacią harmonii, doskonałości lub blasku, które jako oglądane i dla oglądania budzą upodobanie.

Współcześnie piękno najczęściej wiązane jest ze sztuką, z poznaniem zmysłowym i uczuciami.



Afrykańska przyroda, fot. B. Kukulska.

Refleksja starożytnych Greków nad pięknem nie wysuwała na plan pierwszy wytworów sztuki, lecz rzeczywistość (kosmos) i moralność.

W rozumieniu Platona piękno tworzyło wraz z prawdą i dobrem słynną triadę, wyznaczającą sam szczyt wszelkich wartości w świecie wiecznych idei.

Natomiast w sferze ziemskich zjawisk, postrzeganych zmysłami piękno znalazło wyraz w pitagorejskiej tzw. wielkiej teorii. Zakładała ona, że piękno polega na należytych proporcjach wyrażalnych w liczbach, matematycznie. Z tych proporcji wywodzi się zarówno harmonia dźwięków w muzyce, jak symetria w rzeźbie i

architekturze. Klasyczne piękno podług wielkiej teorii miało zatem charakter racjonalny i normatywny zarazem.

Na przestrzeni wieków zakwestionowane zostało tradycyjne antyczne pojęcie harmonii jako istoty piękna.

W obecnych czasach dysharmonia, brzydota uznawana jest za artyzm, ale natura nie zmieniła swych barw i zachwyca swoją harmonią.

Afrykańska przyroda w obiektywie Barbary M. J. Kukulskiej















Jak trwoga to do Basi

Rozmowa z Barbarą Kukulską - wiceprezes Rady Polonii Afryka Południe, redaktorką „Wiadomości Polonijnych” w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.



Republika Południowej Afryki, fot. Fotolia.

Janusz Szlechta: Jak trafiła Pani do Republiki Południowej Afryki. Dlaczego właśnie tam?

Barbara Kukulska: Jesteśmy z emigracji solidarnościowej. Wyjechałam z Polski z mężem i dwójką dzieci, wówczas już nastolatków, kilka godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego. To była trudna decyzja i brawurowa. Mąż Marek – który był adiunktem na Politechnice Łódzkiej, z tytułem doktora inżyniera mechanika – podpisał kontrakt w Południowej Afryce, stąd znaleźliśmy się właśnie w tym kraju. I w swym zawodzie natychmiast po przyjeździe rozpoczął pracę. Dostaliśmy od razu

mieszkanie: 6-pokojowy dom, z olbrzymią kuchnią, dwiema łazienkami, garażem, pięknym ogrodem. Dom był wyposażony w nowe meble, nawet jedzenie było w lodówce. Warunki były wspaniałe. Mąż dostał też służbowy samochód.

JSz: A zatem mąż spełnił się na emigracji, znalazł swoje miejsce. A Pani?

BK: Ja też jestem inżynierem - włókiennikiem i odzieżownikiem. Zaraz po przyjeździe do RPA podjęłam pracę w fabryce, w swoim zawodzie - na podobnym stanowisku, które opuściłam w Polsce, bo zostałam szefem przygotowania produkcji. Dwie pensje, moja i męża, sprawiały, że musieliśmy płacić tak wysokie podatki, iż zdecydowaliśmy w końcu, że nie będę pracować. Pensja męża absolutnie nam wystarcza, ba, nawet mamy więcej pieniędzy niż wtedy, kiedy i ja pracowałam. A dzięki temu mogłam intensywniej zająć się działalnością społeczną.

JSz: Wiem, że wydaje Pani pismo „Wiadomości Polonijne” i dlatego właśnie została Pani zaproszona we wrześniu 2005 roku na XIII Światowe Forum Mediów Polonijnych do Tarnowa i na Śląsk. Co to jest za pismo, kiedy się narodziło, do kogo jest adresowane?

BK: Powstało w 1948 roku. Wówczas nosiło nazwę „Pod Krzyżem Południa”. Mam parę archiwalnych numerów - było to bardzo ciekawe pismo. Potem jednak zmniejszyła się jego objętość do kilku kartek, a zawartość ograniczała się do informacji o Polakach żyjących w Johannesburgu, imprezach polonijnych oraz do komunikatów. Przeżywało różne kryzysy, ale cały czas było wydawane. Ukazuje się 10 razy w roku, ma nakład 200 egzemplarzy.

Kiedy przejęłam kierowanie tym periodykiem, zmieniłam jego nazwę na „Wiadomości Polonijne” i poszerzyłam o przedruki artykułów z Polski, wiadomości dotyczące życia politycznego i kulturalnego w ojczyźnie. Staram się bowiem cały czas podtrzymywać w rodakach polskość i chronić mowę polską. Teraz pismo liczy 16 stron, czasami 18, ma format A4 i jest wydawane na naprawdę wysokim poziomie. Bo też i Polonia w Południowej Afryce jest elitarna. Bardzo dużo jest ludzi po studiach w Polsce: lekarzy, nauczycieli, inżynierów. Pismo jest czytane, o czym świadczą telefony będące reakcją na informacje czy artykuły. Często jest tak, że jeśli pismo dotrze w odległe zakątki, to rodacy odbijają na ksero po 10-20 egzemplarzy i rozsyłają dalej. To oznacza, że jest zapotrzebowanie na taką gazetkę. Czasami ktoś dzwoni albo

pisze, aby mu przysłać egzemplarz.



Barbara Kukulska, Częstochowa, wrzesień 2005 r., fot. Janusz Szlechta.

JSz: Jak liczna jest redakcja? Kto finansuje pismo?

BK: Wszystko robię sama. Czasami pomaga mi moja córka Magda, która przepisuje teksty. Staram się oczywiście namawiać ludzi, aby pisali o sobie i innych, o różnych wydarzeniach, ale bardzo trudno jest osiągnąć ostateczny efekt - czyli artykuł. Jedynie moja mama Maria Dulcka od czasu do czasu coś napisze. Wiem, że na nią mogę liczyć, mimo że skończyła niedawno 96 lat. W Polsce była nauczycielką. Do dziś jest aktywna fizycznie i umysłowo. Na swoje 96. urodziny napisała bardzo ciekawy artykuł o tym, ilu to przeżyła papieży. Okazało się, że... dziewięciu. Urodziła się w 1909 roku, kiedy na Stolicy Piotrowej zasiadał Benedykt XV, a teraz doczekała Benedykta XVI. Nazywana jest „matką Polonii południowoafrykańskiej”. Służy

wszystkim radą i cieszy się wielkim szacunkiem. Dla mnie jest i powiernikiem, i doradcą, i pierwszym czytelnikiem. Jak usłyszę jej ocenę: *Basiu, jest dobrze. Nie zaniżaj poziomu!* - to jest to dla mnie największa pochwała, dodaje mi skrzydeł.

Pismo oczywiście nie przynosi żadnego dochodu, rozprawdzam je za darmo. Czasami ktoś da mi parę randów za gazetę. Mam stałych odbiorców, od których czasami dostaję dotację.

JSz: Jak liczna jest Polonia południowoafrykańska. Czy ma swoje organizacje?

BK: Polonia w Południowej Afryce, w rejonie Johannesburga i Pretorii - która jest zimową stolicą kraju (letnią jest Kapsztad) - liczy, według naszych szacunków, około 35 tys. osób. W Pretorii jest polska ambasada i konsulat.

Oczywiście, że mamy swoje organizacje. Ja jestem prezesem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Założycielami tej organizacji byli ci, którzy jako dzieci - przez Syberię - dotarli do RPA. Kiedy te dzieci dorosły, poczuły potrzebę utrzymywania kontaktów ze sobą i z krajem. I w ten sposób w Johannesburgu powstał Związek Osadników Polskich. Z tego związku wyłoniły się potem wszystkie polskie organizacje w Południowej Afryce. Jest ich teraz sporo: Zjednoczenie Polskie, Stowarzyszenie Techników, Stowarzyszenie Kombatantów i Lotników, do niedawna istniało Stowarzyszenie Lekarzy, Rada Polonii. Jest również szkoła polska. Niedawno zorganizowałam zespół taneczny.

Stworzyłam też grupę sybiraków. Z okazji obchodów 65-lecia zbrodni katyńskiej rozpropagowałam w RPA apel, aby wszyscy ci, których ojcowie, wujkowie czy bracia zginęli w Katyniu, zgłosili się do mnie. No i zgłosiło się 15 osób. Zrobiłam to po to, aby wysłać do zarządu Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich w Warszawie informację o tych ludziach i zgłosić chęć współpracy.

JSz: Wróćmy do Zjednoczenia Polskiego - czym się zajmujecie?

BK: Organizacja liczy dzisiaj około 200 członków. Są też członkowie honorowi, rozsiani po całym świecie. Mamy liczne grono sympatyków, którzy uczestniczą w naszych spotkaniach, imprezach i uroczystościach. Przede mną prezesem Zjednoczenia Polskiego był przez 20 lat Jerzy Wallas. Dzisiaj liczy sobie 90 wiosen i

mieszka w Durbanie, 600 kilometrów od Johannesburga. Nazwałam go „tata organizacji”, bo do dziś się interesuje naszymi problemami, często do mnie dzwoni i wspiera duchowo w różnych sprawach. Bywa, że całe noce spędzam przy komputerze, a w ciągu dnia dzwonię i jeżdżę, załatwiając różne sprawy czy pomagając rodakom w nieszczęściach. No bo jak trwoga, to do Basi!

Problemy są różne. W RPA można jechać samochodem 120 kilometrów na godzinę, ale bywa, że ludzie jeżdżą i 200 km. Kolej jest słabo rozwinięta, więc transport jest głównie samochodowy. Trasy są długie, na drogach jest mnóstwo ciężarówek, więc łatwo o wypadek. Jeśli wypadek ma Polak, który nie ma ubezpieczenia i nie zna języka, to wtedy często mnie proszą o pomoc. Mamy wielu polskich lekarzy, więc staram się ich mobilizować, aby bezinteresownie udzielili pomocy rodakowi. Przeważnie ze wszystkimi jestem po imieniu, bo to ułatwia kontakty.

Znałam kobietę, która wyszła na jakieś spotkanie biznesowe i nie wróciła. Po jakimś czasie znaleziono jej ciało. Prawdopodobnie było to morderstwo. Jej mąż był pochodzenia holenderskiego. Przepadł gdzieś wraz z 2-letnią córeczką. Dziadkowie, rodzice zabitej kobiety, poszukiwali wnuczki i nie mogli jej znaleźć. Wreszcie okazało się, że ojciec zostawił ją u znajomych Afrykańczyków i... zniknął na rok. Aby dziadkowie mogli zaopiekować się dzieckiem, musieli mieć decyzję sądu. Kiedy zwrócili się do mnie o pomoc, zajęłam się sprawą. Przemówiłam do serc ambasadora i konsula. I rzeczywiście pomogli. Dziewczynka dostała obywatelstwo polskie i zajęli się nią dziadkowie. Była niedawno w Polsce. Teraz ma 10 lat.



Barbara Kukulska

JSz: Zjednoczenie Polskie przyczyniło się do postawienia pomnika Katyńskiego w Johannesburgu w 1981 roku. Podobno był to pierwszy taki pomnik poza granicami Polski...

BK: Trwają w tej kwestii spory. W Londynie mówią, że oni pierwsi postawili pomnik Katyński, bo już w 1976 roku. W Australii taki pomnik stanął w 1980. Tyle że w Londynie pomnik znajduje się na cmentarzu, zaś australijski to wmurowana tablica w ścianę Domu Polskiego w Sydney. Tymczasem nasz, w Johannesburgu, jest to pomnik zbudowany w miejscu publicznym, na gruncie państwowym. Z okazji 20-lecia jego odsłonięcia zorganizowałam wielkie uroczystości, upamiętniające ofiary sowieckiej zbrodni w Katyniu.

Jest to pomnik unikalny. Wówczas, kiedy stanął, w Afryce Południowej obowiązywał przepis, że w miejscach publicznych nie wolno było stawiać krzyży. Jest tutaj wiele religii i chodziło o to, aby nie urazić niczyich przekonań. Dlatego architekci polscy wymyślili taki pomnik, aby nie budził zastrzeżeń. Stanęły więc dwie potężne bryły, z

wybranym środkiem, a przez ten prześwit patrzy się w niebo i na tle nieba widać krzyż. Są ponadto wmurowane trzy tablice i ziemia przywieziona z Katynia.

JSz: Jest Pani również wiceprezesem Rady Polonii Afryka Południe. Organizacja ta próbuje spełniać rolę podobną do tej, którą pełni Kongres Polonii Amerykańskiej w USA. Czy jest możliwa jedna reprezentacja Polaków mieszkających w RPA?

BK: Jest to organizacja starająca się skupić organizacje polonijne i być ich reprezentantem. Do Rady należy sześć organizacji z różnych miast oraz Stowarzyszenie Kombatantów i Lotników. Dostaliśmy dwa miejsca w parlamencie południowoafrykańskim. Jeden mandat właśnie ja sprawuję.

JSz: Czy utrzymujecie kontakty z Polską?

BK: Oczywiście, organizacja ta reprezentuje również Polonię południowoafrykańską w kontaktach z polskim rządem i parlamentem. Udało się nam zainteresować Senat RP naszymi sybirakami. W 2004 roku zorganizowałam im wycieczkę do Polski. Niektórzy byli w kraju po raz pierwszy od chwili wywiezienia ich przez Rosjan na Sybir. Byliśmy przez dwa tygodnie goszczeni w Polsce, m.in. w Częstochowie. Była to 35-osobowa grupa, w większości ludzie około osiemdziesiątki, ale wszyscy doskonale znieśli trudy i nikt nie zachorował.

Była to specyficzna grupa osób - w 1940 roku zostali wywiezieni przez Rosjan na Syberię, w 1943 trafili do Republiki Południowej Afryki. 500 polskich dzieci, sierot, zostało przywiezionych w 1943 roku do RPA na czas wojny. Gościnny rząd - wówczas Unii Południowo-Afrykańskiej - przyjął te dzieci jako przyszłych obywateli. Zdecydowana większość tam została, założyła rodziny.

JSz: Mówiła Pani o kultywowaniu tego co polskie, o utrzymywaniu polskości. Czy ma to jakiś konkretny wymiar?

BK: Dwa lata temu założyliśmy Fundację Dziedzictwa Polskiego w Południowej Afryce. Jestem w ścisłym jej kierownictwie. Fundacja ma za zadanie odszukiwać ślady po Polakach, którzy żyli w RPA i czegoś dokonali. Wiemy na przykład, że słynny pisarz Józef Konrad Korzeniowski (Joseph Conrad) mieszkał w tym kraju wraz z córką - w Petermagritsburgu koło Durbanu. Dużo pamiątek zostało po żołnierzach

Polakach, którzy uczestniczyli w II wojnie światowej w mundurach armii brytyjskiej. W roku 1944 południowoafrykańscy lotnicy nieśli pomoc walczącej Warszawie. Z dumą mogę powiedzieć, że należę do komitetu obchodów rocznicy lotów nad Warszawę. Jeszcze kilku z tych lotników żyje. Co roku we wrześniu organizujemy obchody upamiętniające powstanie warszawskie i loty z pomocą dla powstańców. Te kontakty z Polakami dają im wiele radości.

Czasami łapię się za głowę, że już nie nadążam, za dużo tej pracy społecznej. Ale społeczników jest mało, a trzeba przecież coś robić, wyjść na zewnątrz. Mnie daje satysfakcję to, że można coś dla Polonii zrobić.



Johannesburg

Barbara Maria Józefa Kukulska do Republiki Południowej Afryki wyjechała w 1982 roku wraz z mężem i dwójką dorastających dzieci: Magdaleną i Wojciechem. Mąż podjął pracę w biurze projektowym w zakładzie petrochemicznym, a Barbara od pierwszych chwil aktywnie włączyła się w pracę polonijną. Początkowo działała w miejscowości Secunda, gdzie była współzałożycielką organizacji Zjednoczenie Polskie w Secunda pod patronatem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Po przeniesieniu się w styczniu 1984 roku na stałe do Johannesburga, podjęła działalność w organizacji Zjednoczenie Polskie w Johannesburgu. Pisała pod pseudonimem krótkie felietony i reportaże do periodyku „Komunikat”, wydawanego przez Zjednoczenie. W 1998 roku została sekretarzem tej organizacji oraz współredaktorką „Komunikatu”, który z biuletynu został przekształcony w pismo „Wiadomości Polonijne”.

W kwietniu 2000 roku, na Walnym Zgromadzeniu, została wybrana prezesem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Jednocześnie ambitnie podjęła się pracy

dziennikarskiej i wydawania periodyku „Wiadomości Polonijne”. Pracę prezesa i redaktor naczelnej „Wiadomości Polonijnych” Barbara Kukulska wykonuje nieprzerwanie do chwili obecnej. Co ciekawe, jest osobą pełniącą najdłuższą funkcję prezesa i redaktor naczelnej pisma „Wiadomości Polonijnych” w ponad 67-letniej historii Zjednoczenia Polskiego.

Barbara M.J. Kukulska: „Ponad 16 lat jestem prezesem największej i najstarszej polonijnej organizacji w Południowej Afryce. W społeczne działanie włączona jest cała moja rodzina, do niedawna jeszcze czteropokoleniowa. Moja matka Maria Dulka dożyła pięknego wieku 101 lat i praktycznie do ukończenia stu lat aktywnie pomagała mi w pracy: była korektorką pisma „Wiadomości Polonijne”, odbierała telefony i udzielała informacji. Teraz tę rolę przejął mój mąż Marek, który od kilku lat nie pracuje zawodowo i bez reszty poświęcił swój czas na wspieranie mojej działalności jako prezesa organizacji, ale również w pracy redakcyjnej.

Nasza Polonia starzeje się, bo od lat nie ma dopływu nowej emigracji do Republiki Południowej Afryki. Młodzi, którzy pokończyli tutaj studia, wyjeżdżają w poszukiwaniu bezpieczniejszego życia. Zostają tu Polacy, którzy przybyli podczas II wojny światowej oraz ci z emigracji solidarnościowej. Ci pierwsi czują się już za słabi, aby gdzieś tam rozpocząć życie od nowa. Natomiast wśród Polaków, którzy przestali pracować zawodowo, jest silne pragnienie powrotu do Polski, względnie podążenia za dorosłymi dziećmi i wnukami, które wybrały życie w innych krajach: Australii, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii, Kanadzie czy Stanach Zjednoczonych.

Kilka rodzin wróciło do Polski po ponad 30 latach. To są bardzo trudne decyzje i nie każdy ma odwagę i siłę na sprostanie tym wyzwaniom. W podjęcie decyzji zaangażowane są całe rodziny, ale łączy się to z „rozdartym sercem”, gdyż często bywa tak, że jedno z dzieci osiedliło się z rodziną na kontynencie australijskim, a drugie na amerykańskim. Wtedy wybór emerytowanych rodziców pada na Polskę. Powrót do kraju ojczystego po wielu latach to wielki stres związany z poznawaniem nowych realiów życia w Polsce.

My też rozważamy ewentualny powrót, gdyż w Krakowie przed dziesięciu laty osiedlił się nasz syn Wojtek z rodziną, a córka Magda mieszka w Johannesburgu. Jednak, gdy wnuk Filip skończy niedługo studia, to kto wie, czy córka nie przeniesie

się wraz z nim do Anglii.

Praca na rzecz Polonii to ciągła dyspozycyjność, praktycznie non stop, przez wszystkie dni w roku, o każdej godzinie.

Tak, jest to uciążliwe, ale jednocześnie daje olbrzymią satysfakcję wyływającą z tego, że pomaga się potrzebującym. Bezinteresownie można służyć innym – i to jest tajemnica sukcesu i motor do działania. To również daje siłę wewnętrzną do przeciwstawienia się słabościom”.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



